

Mój przyjaciel Dersu Uzala

Jacek Pałkiewicz

Rzeczpospolita 27-06-2009

Ludzie z plemienia Goldów, z których wywodził się legendarny myśliwy, nie potrafią już żyć w tajdze. Poza najstarszymi są głusi na głosy natury



autor zdjęcia: Jacek Pałkiewicz
Suan-Kon, myśliwy z tajgi

Kusił mnie wyjazd do Kraju Ussuryjskiego na peryferiach Rosji, gdzie w dzikiej tajdze żyli swego czasu autochtoni Nanajowie, wcześniej nazywani Goldami. Przyjaciele z Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego nie kryli sceptycyzmu. „Tych ludzi już dawno nie ma. Ustrój komunistyczny wyrwał korzenie ich plemienia” – twierdzili. Postanowiłem szukać ludzi takich jak Dersu Uzala. To bohater porywającej książki Władimira Arsenjewa „Dersu Uzala”, którego świat szerzej poznał dzięki Kurosawie. Jego film będący hymnem na cześć myśliwego z majestatycznej głuszy odniósł wielki sukces i zdobył liczne nagrody, w tym Oscara dla najlepszego filmu zagranicznego.

W najbliższym czasie film pojawi się na DVD, a za kilka miesięcy Wydawnictwo Zysk i S-ka wznowi – po 50 latach – emanującą ludzkim ciepłem i liryzmem opowieść Arsenjewa. Dobrze, że Dersu Uzala, symbol naturalnej dobroci uszlachetnionej wpływami przyrody, zostanie przypomniany, bo w ciągu ostatniego wieku świat bardzo się zmienił. Zachodnia cywilizacja sprowadziła człowieka na nowe tory, zapewniła priorytet cynizmowi i wybujałej konsumpcji dóbr.

Po ukazaniu się książki w 1923 roku Maksym Gorki stwierdził: „Jestem zachwycony i oczarowany jej siłą”. Opowieść o historii twardej męskiej przyjaźni jej autora, rosyjskiego wojskowego badacza, z jego przewodnikiem, sędziwym myśliwym z plemienia Goldów, przeczytałem jednym tchem jeszcze w szkolnych czasach, a potem pochłaniałem ją jeszcze kilkakrotnie.

Podczas przygotowań do wyjazdu znalazłem mgliste wzmianki o Polakach, którzy w tym samym czasie co kapitan carskiego wojska prowadzili badania w Kraju Ussuryjskim, zyskując szacunek rosyjskiego środowiska naukowego. Byli wśród nich twórca nowoczesnej kartografii polskiej prof. Eugeniusz Romer z Uniwersytetu Lwowskiego oraz pracujący dla firm poszukujących złota inż. Kazimierz Grochowski, zaprzyjaźniony z Arsenjewem. W braterskich stosunkach z nim był także jeden z pionierów osuwających azjatyckie kresy Rosji, ojciec pisarza Stanisława Marii Salińskiego, autora znakomitej książki „Ptaki powracają do snów”.

Kraj Nadmorski i masyw Sichote-Aliń, dokąd jadę, leży dalej niż Syberia. Kiedyś między Uralem i Pacyfikiem ustanowiono dwa regiony: syberyjski i dalekowschodni. Gdzie przebiega granica między nimi, nie wie tego żaden Rosjanin. Lot z Moskwy do Chabarowska trwa dziewięć godzin. Potem jeszcze cała noc w pociągu magistrali trasyberyjskiej i wysiadam w mieście Luczegorsk. Oczekuje na mnie, nie bacząc na śnieżycę, Wiktor Iskorkin, znajomy mojego przyjaciela Igora Michałowa. „Mój gość, jak sądzę?” – wita mnie niczym Stanley Livingstone’a w puszczy afrykańskiej.

Przy gościnnie zastawionym stole, bo tutaj nie może być inaczej, Wiktor napelnia szklanki wódką. Kiedy mówię, że wódki nie piję, nie ukrywa zdziwienia: „A Igor mówił, że jesteś normalny pariań, normalny facet”. Gospodarz jest typowym sybirakiem: prostolinijnym i gotowym do poświęceń. Wysłuchuje mojego życzenia. „Postaram się ci pomóc – zapewnia. – 130 kilometrów stąd, nad rzeką Bikin leży osada zbudowana w latach 50. ub. wieku. Miała zapewnić schronienie bliskim sobie

koczowniczym plemionom Oroczan, Udechejczyków czy Nanajów. Ludzie tajgi z trudnością akceptowali wymuszaną zmianę stylu życia, ale z czasem musieli się adaptować i integrować”.

Bagdyfi diantadiga

Terenowy UAZ dobrze sobie radzi na śliskiej drodze wbijającej się w tajgę i biegnącej wzdłuż ścian ze śniegu. Przejeżdżamy rzekę Ussuri i kontynuujemy jazdę w górzystym terenie wzdłuż nieodległej granicy z chińską Mandżurią. W pewnej chwili w gęstwinie drzew pojawia się prześwit i otwarta przestrzeń, na której dominują tylko dwie barwy: biel śniegu i intensywny błękit nieba. Pośród nich rząd chat i snujące się z kominów pióropusze dymów.

Tablica informuje, że jesteśmy w Krasnym Jarze, i uzupełnia słowami „Bagdyfi diantadiga” – „witajcie” w języku Udechejczyków. Napotkana kobieta sugeruje jechać do ostatniego domu, gdzie na ścianie wiszą suszące się futra soboli. Drzwi otwiera kopia znanego mi z archiwalnych zdjęć Dersu Uzały.

Tak samo jak jego współplemieniec ma wyraźnie zaznaczone kości policzkowe, spłaszczony nos, te same płowe wąsy i przykuwające uwagę skośne oczy, wyrażające prawość charakteru i dobroduszość. Jest niedużego wzrostu, krepy. Trudno określić jego wiek. Wygląda na 70 lat, ale z powodzeniem może mieć dziesięć mniej. Nazywa się Suan-Kon, „Bystra rzeka”, ale dla mnie pozostanie Dersu. Onieśmielonym, cichym głosem i łamanym rosyjskim zaprasza do spartańsko urządzonej izby. Zachowuje się godnie, jest nad wyraz życzliwy i miły, że w swoim życiu nigdy się nie złościł. Mieszka sam, żona zmarła dawno na gruźlicę, dzieci rozjechały się po świecie. „Jestem szczęśliwy – mówi. – Latem w lesie są grzyby, jagody, orzechy i dużo ryb. Zimą pada śnieg i łatwo wtedy polować. Nie mogę więcej wymagać od życia”. Jestem pod wrażeniem jego osobowości.

Jedzenia mu nie brakuje, właśnie przygotowywał posiłek, na który teraz zaprasza. To struganina, syberyjski przysmak. Znam ją dobrze z czasów wyprawy na biegun zimna, gdzie przez 30 dni służyła jako zastępczy obiad. Dersu Uzała opiera łbem o stolik mrożoną melpę, skrobie z niej łuski, po czym ścina ostrym jak brzytwa nożem cienkie paski wijące się jak wióry heblowanego drewna. Maczamy je w talerzyku z pieprzem i solą i jemy na surowo. Lodowata jest w stanie zachwycić każde podniebienie. Gdyby była cieplejsza, nie nadawałaby się do jedzenia. Wiktor przywiózł nie tylko papierosy, ale i wódkę. Mówi, że ryba wychowała się w wodzie, ale umierać powinna w alkoholu. I Suan-Kon wyraźnie to docenia.

„Chciałbym, jeśli można, poznać twoje życie i wybrać się razem na polowanie – wykładam cel mojej wizyty. – Interesuje mnie tutaj natura i jej tajniki”. Suan-Kon zamyśla się, gładzi sobie wąsy i odpowiada uśmiechniętym spojrzeniem: „Tak, tak”.

Czy znasz Dersu Uzałę? „To był taki myśliwy jak my, tylko bardziej wolny – zauważa lakonicznie. – Goldowie nie mają już dzisiaj tej swobody. Choć ośobiście nie mogę narzekać. Mieszkam tutaj tylko zimą, a wiosną wychodzę do tajgi i wędruję do późnej jesieni, korzystając z obfitującej w dary przyrody”.

Sołtys Czerwonego Jaru zadbał o zapewnienie noclegu w internacie szkoły. Teraz służy informacją: „Nanajowie należą do jednego z najmniej licznych wśród etnicznej mozaiki dawnych ludów syberyjskich. Pozostało ich kilka tysięcy. Należą do tungusko-mandżurskiej grupy językowej i nie mają swojego piśmiennictwa. Tradycje ich ojców i dawny styl życia zostały zdominowane przez sowiecką kolonizację, która dotknęła wszystkie tujejsze rdzenne narody. Po rewolucji październikowej władza podjęła energiczną indoktrynację, zmuszając do porzucenia koczowniczego trybu życia. W tajgę jeździli komisarze polityczni i przekonywali o lepszym życiu. Teraz całkowicie zrusyfikowane pokolenie, wychowane w duchu nowego społeczeństwa sowieckiego, nie potrafi już żyć w tajdze. Młodzież nie umie tropić zwierzyny, łowić ryb. Przyzwyczajona do postępu materialnego jest głucha na głosy natury. Wprawdzie najstarsi kultywują jeszcze coś niecoś z dawnych tradycji, ale to są już ostatni Mohikanie”.

Amba, władca tajgi

Budzi mnie różowa poświata. Potrójne szyby ozdobione są mozaiką szronu. Nic dziwnego, bo w pokoju temperatura nie przewyższa zera stopni. Na zewnątrz krystaliczne, suche powietrze i dokuczliwie kąsający mróz. Dziś czeka mnie ekscytująca eskapada do tajgi. Na ile dni? Suan-Kon wzrusza ramionami: „Może na dzień, może na trzy. Chcę upolować dziką” – zapowiada. Będziemy spali w myśliwskich izbuszkach, chociaż może się zdarzyć, że noc przyjdzie spędzić pod otwartym niebem. Dlatego załadował na zmontowane z kołków i rzemieni, bez użycia gwoździ sanki skóry niedźwiedzie, karabin pamiętający czasy II wojny światowej, kociołek, topór, wziął też razowy chleb własnego wypieku, sól i nóż, z którym się nigdy nie rozstaje. Oprócz karabinu to podstawa egzystencji w tym surowym świecie.

Jestem przygotowany na tę wyprawę, zabrałem ze sobą niezbędny ekwipunek i wielowarstwową odzież dobrze utrzymującą izolację powietrza. Mam także termos, bo chłód i zmęczenie powodują szybsze odwodnienie, zatem trzeba dużo pić, najlepiej ciepłe napoje. Gospodarz pożyczka mi narty własnej roboty. Kupuję jeszcze w miejscowym sklepie tradycyjne grube, filcowe walonki z gotowanej i sprasowanej owczej wełny, najlepszy wyalizak na siarczyste mrozy. Wiktor zostaje na miejscu, bo taki wypad nie stanowi dla niego atrakcji.

Idziemy na nartach po głębokim śniegu. Rozkoszuję się pięknem nieskalanej przyrody odległej od codziennej egzystencji. Wysiłek sprawia, że oddech staje się częstszy i powietrze boleśnie wypełnia płuca. Dersu idzie przodem pewnym krokiem, utrzymując stałe tempo. Wydaje się nieczuły na zimno i odporny na zmęczenie, jego uwaga skoncentrowana jest wyłącznie na tropach i innych przydatnych śladach, których ja nie dostrzegam.

Natykamy się na tablicę „Kłusownik – wróg przyrody”. Chodzi głównie o tygrysa amurskiego, bo ten obszar jest jego ostoją. „Rozumiesz – niemal szepcze Dersu – Amba jest nietykalna. Chodzi swoimi drogami, my swoimi”. Z jego słów emanuje kult Amby, sakralny respekt dla tego władcy tajgi, będącego dla Goldów istotą nadrzędną. Respekt nieznany osobnikom industrialnej cywilizacji, którzy każdego roku zabijają około 80 największych przedstawicieli wielkich kotów. Ich czarnorynkowa cena wciąż rośnie, bo rośnie zapotrzebowanie na genitalia i sproszkowane kości, wchodzące w skład specyfików tradycyjnej medycyny chińskiej. Działający w rezerwacie przyrody Sichote-Aliń amerykańsko-rosyjski zespół naukowców uważa, że jest ich niewiele ponad 400 i rabunkowa eksploatacja drewna na dużą skalę, budowa dróg czy pożary zagrażają tej populacji.

Dersu nie pojmuje tego barbarzyństwa. Jest całkowicie zintegrowany z przyrodą. Wyznaje pełen magii i poezji animizm, za istoty żywe i uduchowione uważa rzeki, góry, wiatr, deszcz, mgłę czy Księżyc. Tu hojna tajga kształtuje ludzkie charaktery, pokornym zapewnia wolność i pokazuje, jak niewiele potrzeba, aby człowiek mógł w niej egzystować. Nie stawia nakazów ani granic dzielących ludzi. System wartości jest przejrzysty, łatwo można oddzielić dobro od zła czy przyjaźń od nienawiści.

Napar z limonnika

Wcześniej widzieliśmy tropy sobola i jelenia plamistego. Teraz Dersu obserwuje świeże ślady leoparda amurskiego. Tych kotów zachowało się już zaledwie kilkadziesiąt. Niesamowita zdolność orientowania się w terenie i niezawodny wzrok myśliwski sprawiają, że dla mojego niezrównanego przewodnika nie ma tu żadnych tajemnic. Wkrótce pokazuje miejsce, gdzie pod śniegiem znajduje się żen-szeń, rzadko rosnąca dziko „roślina życia”. „Uprawiają ją także na plantacjach – tłumaczy Dersu – ale tamte niewiele mają wspólnego z prawdziwym żen-szeniem”.

Jest późne popołudnie i Dersu chce dotrzeć do izbuszki. Oto chatka z bali drzewnych. Muszę się schylić, żeby wejść do środka, gdzie w półmroku dostrzegam blaszany piecyk z rurą wylotową na

zewnątrz. Dawno nikogo tu nie było, ale jak wymaga tradycja, ostatni goście zostawili żelazny zapas dla tych, co przyjdą po nich: zapalki, świece, ryż, sól, herbatę.

Ścinam suche, o niemal czarnej korze drzewo. Pali się dobrze, nie dymi i daje dużo ciepła. Wkrótce pożywiemy się struganą i gorącym makaronem. Mój współtowarzysz zrobił także napar z limonnika (cytryńca), którego cienkie pędy wijące się na pniu drzewa znalazł nad brzegiem strumienia. To cenna roślina stymulująca i tonizująca przy zmęczeniu.

Zza czubków świerków i modrzewi wysuwa się czerwona tarcza słońca w pomarańczowej poświacie. Mróz kłuje policzki milionami igiełek, a wydechane powietrze pokrywa szalik lodową skorupą.

Dersu się ożywia. Są dziki. Idziemy ich tropem, by w ostatniej chwili podejść je pod lekko wyczuwalny wiatr. Wreszcie są widoczne. Dersu strzela pewnie do ostatniego. Trafia, ale dopiero poprawka rzuca go na śnieg. Zwierz ląduje na sankach, które ciągniemy na zmianę. Wieczorem będziemy w domu i tam dobiegnie końca moje terminowanie u mojego Dersu.

Sięgam pamięcią do książki Arsenjewa, do dnia, kiedy jej bohater znalazł się w tarapatkach. Chciał odstraszyć tygrysa zagrażającego jego przyjacielowi, ale niefortunnie śmiertelnie go zranił. Znieważył leśną moc, która niebawem się zemściła. Dersu Uzała zaczął tracić wzrok i wtedy Rosjanin zabrał go do swego domu w Chabarowsku. Człowiek lasu czuł się w mieście zagubiony i nieszczęśliwy. Długo nie wytrzymał i wrócił do swego naturalnego środowiska. Miał ze sobą podarowaną przez przyjaciela nowoczesną strzelbę i to właśnie ona musiała przyciągnąć uwagę jakiegoś bandyty, który nie zawahał się targnąć na jego życie. Wierzę, że duch Dersu jest wciąż gdzieś tu obecny.

Autor jest członkiem rzeczywistym brytyjskiego Królewskiego Towarzystwa Geograficznego